

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odnośzenie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2 1/2 mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykle 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fenig. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 20 m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcji: WARSZAWA, ZGODA № 1.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEŃ”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 20 z dnia 19 maja 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

BRACIA JABŁKOWSCY

BRACKA 23

MATERJALE

WŁĘNY,
BAWELNY,
JEDWABIE

BIELIZNA

DAMSKA,
MĘSKA,
DZIECIĘCA

WYPRawy ŚLUBNE

OD 300 RP

OKRYCIA
KOSIUNY
SUKNIE
BLUZKI

SUKNIENIA DLA PANIENEK — UBRANIA DLA CHŁOPCÓW

OBUWIE
DAMSKIE
DZIECIĘCE

10282

SALON WIOSENNY

W TOWARZYSTWIE ZACHĘTY.

Ledwie co ukończony pokaz legionowy zostawił świadectwo, że malarstwo nasze w okresie wojny wcale nie uległo stagnacji.

Rzecz tę podkreślamy z radością i całym uznaniem dla ostatnich prac naszych twórców.

Niemal zapomniany element „koń” znów zajął ważne miejsce w naszym malarstwie. Roi się od obrazów z rumakami. Malują powołani i tacy, co powinni dalszą wędrówkę w sztuce piechotą odbywać; ci też wierzchem próbują na Parnas zajechać.

Salon wiosenny tegoroczny nie jest ewenementem wyjątkowym, ale trzeba przyznać, że nie jest też gorszym od swych poprzedników. Posiada wcale duży zespół prac dociągniętych, to jest takich dzieł sztuki, których forma odpowiada treści. Niema rzeczy połowicznych, eksperymentów, dla których miejsce jest i być powinno w zacisznym kącie pracowni a nie na ścianach wystaw publicznych.

W wielkiej sali głównej uderza przede wszystkim ogromna ilość obrazów śniegowych: dziesięć sztuk! Widocznie niebawale dokuczliwa zima tegoroczna malarzom poszła nie tylko w pięty, ale i obrazy. Śniegi

te, przeważnie dobre — lub nawet, jak u Ziomka i Kowalewskiego, bardzo dobre, rozświecają mroki sali, jarzą się refleksami słońca zachodu, świecą muskane świtami albo zgoła bez żadnej pomocy słonecznej leżą na obrazach cicho i cieszą się, że kości je depcze.

Kotowskiego konie, dotąd przeważnie spokojnie wystające przed karczmami, teraz rozruszały się, owszem, nawet zabierają się właśnie do drogi, a ich utalentowany autor robi postępy coraz wyraźniejsze.

Kędzierski przypominał sobie dawne czasy, kiedy to pocztą jeździł w Kieleckie, a może i do samego Orońska do Brandtów. Spamiętał wszystko świetnie. Akwarela majstrowska, jak i wszystkie prace tego znakomitego artysty.

Gdybym był człowiekiem o pełnym worku, niekoniecznie znowuż aż mecenasem sztuki, tobym oglądając te pastele — jakie Tański wystawił, tak sobie powiedział: jeden i drugi z tych obrazów powinny być wymalowane w dużych formatach, nawet wprost ogromnych, tak samo „Wjazd Legionów do Warszawy” — jak i owa czwórka karych ogierów, wioząca zakochaną parę po przez łąki kwietne, po przez wszystko na

przełaj, całkiem porządną nejtęczanką, a z koźła wali biczem aże sam imć pan „Czas” osobiście.

Rynek starego miasta i okolice jego stanowią przedmiot natchnień całego szeregu malarzy. Jest tam malowniczości moc ogromna. Są i wspomnienia, słowem, mieszka w tych kątach urok ogromny. Jednym z tych, którzy najlepiej umieją wykraść naturze ton tych pamiątek, jest Kopeczyński. Obydwa jego obrazy z tegorocznego salonu należą do najlepszych całej wystawy. Wyobraźnia malarza wyolbrzymia naturę, robi ją heroiczną, wprowadzając element poezji, proste mierz motywa zamienia czarem talentu w dzieła ogromnego uroku. Jest to nie tylko odtwarzanie, ale raczej przetwarzanie rzeczywistości w sztukę.

Na honorowym miejscu zwraca uwagę portret M. Suligowskiego, malowany przez Zawadzkiego. Doskonała to podobizna zasłużonego człowieka, stylem przypominająca portret tak zwany reprezentacyjny. Rzadko spotyka się rzeczy tak dobrze szarmonizowane i utrzymane w całości. Jest to bezsprzecznie najlepsza praca coraz więcej wybijająca się na przód malarza.

Ślupskiego „Poranek”, utrzymany w tonie i nastroju bajkowym, dobrze odpowiada założeniu. Berentowej prace z tej samej dziedziny mogłyby jeszcze zyskać na mniejszych formatach. Portret żony, jak i pejzażowe studia Grombeckiego świadczą o znakomitem opracowaniu for-

my, co przy technice akwarelowej jest i wielką zaletą i dowodem zupełnego pokonania dużych trudności technicznej natury.

Stanisława Ejsmonda pastele znalazły już uznanie na całym szeregu uprzednich wystaw. Obecnie oglądamy nową martwą naturę, której części składowe: biust brązowy, kwiaty i wazon zostały oddane z zaciekleścią realisty — studującego naturę z całą pasją szczerego talentu.

Bardzo utalentowanym malarzem okazał się Plewczyński. Ten srebrzysty kolor jego obrazów, to ton jego osobisty, dziwnie szarmalizowany i subtelny.

Prace Bagińskiego zmieniły nastrój, są obecnie o wiele subtelniej malowane, dawna znajomość ruchu konia, życie, wyraz i sentyment pozostały w całości.

Gawiński stanowi dział własny, jest to jego świat osobisty, do niko go nie podobny ani w formie ani kolorze. Indywidualista najkonsekwentniejszy z naszych malarzy; te jego anioły, pejzaże, nastroje, zwiady wywołują w każdym człowieku umiającym widzieć w świecie coś więcej nad materię.

Prawdziwą też przyjemność sprawia sala rzeźby, dzięki oczywiście kilku talentom, talentom niezwykłym. Nie trzeba dodawać, że Glicenstein jest znakomitym plastykiem; z pomiędzy tych kilkunastu prac wyróżniają się najwięcej studia głów, szczególnie jedna o olbrzymiej monej budowie; jakiś „Samson“ czy coś podobnego mimowoli przypomina się na widok tej doskonałej pracy.

Drugim najwięcej męskim talentem jest pani Trzeńska-Kamińska; zarówno „Mars“ jak kapitalny „Tors kobiecy“ są dekoracyjnie pojęte i mocno zbudowane.

„Stara cyganka“ p. Puszetowej posiada rasę i wyraz, a duży wdzięk mała figurynka-portret, con amore opracowana, Stanisława Czarnowskiego.

*

Wystawę oddzielną, po za Salonem Wiosennym, stanowi sala Kossaka z głośnym obrazem „Krwawa Niedziela w Petersburgu“. Od namalowania tego obrazu przeszło już lat dwanaście — mimo to dziś stał się on znów na tle stosunków wewnętrzno-rosyjskich aktualnym. Znakomity batalista polski stworzył dzieło olbrzymiego ruchu, zawładnął życiem ogromnych mas z tak imperatywnym gestem pewności, że mało dzieł podobnej zbiorowej treści może mu dorównać. Kto wie, jak o-



Fot. St. Masłowski.

W. Kossak, Ułan.

gromną stanowi trudność opanować płótno średniej wielkości, musi wpaść w zdumienie; patrząc na te obszary, tętniące życiem, czujemy grozę sytuacji, z elementarną siłą wielkiego talentu narzucającą się widzowi.

Z tak zwanym malarstwem historycznym znakomite to dzieło nie ma nic wspólnego. Zjawisko w naszej sztuce mowe, twórca, opierając siłę wyrazu o prawo momentu, o prawdopodobieństwo ruchowe mas wielkich, mas ludzkich, rzuconych na ogromną przestrzeń terenu, osiągnął maksimum tego wyrazu, jaki podobny moment tworzy w życiu, w naturze.

Kossak posiada własny styl malarzski, jego człowiek jest istotnie człowiekiem Kossaka, to pozwala mu koncentrować się w obrazie. — tam jest od początku do końca jedno umiesienie, jeden nerw ludzki, niema rozbicia, niema niepewności, ta reżyseria stanowi o jednolitości akcji. Tak być powinno.

„Krwawa niedziela“ znana jest z dawna w głównych miastach Europy, gdzie była wszędzie witana, jako dzieło pierwszorzędne; u nas ze względów policyjno-lokalnych oczywiście była niedopuszczalna.

Po za tą ogromną kreacją o motywie historycznym, widzimy jeszcze kilkanaście prac artysty, obecnie już w czasie wojny powstałych. Są to miłe wspomnienia obozowe, jakby notaty wrażeń, przez które sam autor przechodził. Taki „Parlamentarz“, „Rodaki“, scena w dzwonnicy — wprost zdumiewają energią życia. Młodzi żołnierzykowie legioniści wybornie utrwaleni będą cieszyć oko licznych pokoleń, będą tworzyć ilustrację doskonałą do legendy, jaka powstanie, bo powstać musi, o tych olbrzymich zmaganiach, jakie ludzkość cała przechodzi.

Władysław Wankie.





J. Kotowski. Dwójka koni przed plebanją.



Nowina-Przybylski. Powitanie wiosny.



H. Szczygliński. Budząca się wiosna.



St. Czarnowski. Portret p. W. T.

Wystawa Kościuszkowska.

Skończone ale jednak przystojnie uczciliśmy setną rocznicę śmierci wodza pierwszego naszego powstania, i jedyne go powstania, które miało wodza. Wystawa Kościuszkowska, utworzona w salach kamienicy książąt Mazowieckich przez komitet zabiegliwy i czynny, któremu znany miłośnik sztuki mec. Papiński przewodniczył, zdołała zebrać znaczną liczbę przedmiotów, mających związek z epoką, w tem olbrzymią większość takich, które mają bezpośredni związek z samym Naczelnikiem.

Jest to rezultat.

Boć to sama Warszawa na to się złożyła. Nie można było nic ściągnąć z Krakowa, gdzie jednak w Muzeum Narodowym jest obraz Matejki, poświęcony Kościuszce, ani z Raperswylu, gdzie spoczywa serce wodza i przechowuje się sporo po nim pamiątek.

Nasi zbieracze udzieliли swych zbiorów, za co im niski pokłon się należy. P. Witke-Jeżewski dał sztychy, p. de Phul medale, p. Windyk-Wittig autografy, p. Rusiecki szkła, p. Rotblatt sztychy kolorowe. I inni swemi okazami do urozmaicenia wystawy przyczynili się, jak hr. Łosiowa, p. Patek, Kozieradzki i Nepros. Nasi specjaliści, oprócz okazów, dali wystawie pomoc w formie swęj wiedzy, głównie pp. Soubise-Bisier, Wilder, Chwalewik, Cz. Jankowski i dyrektor Muzeum Narodowego, p. Gembarzewski. Afisz z dzielnym kosynierem bezinteresownie namalował p. Norblin.

I oto stanęło dzieło.

Związano je pięknie z oświatą. Wystawa zasilili funduszem pewnym Macierz Szkolną. Idea ta, podniesiona przez hr. J. Tarnowskiego, mec. Kraushara i mec. Papińskiego przy otwarciu, bardzo konsekwentna. Pierwszym większym aktem wojownika naszego był bój o wolność, ostatnim akt oświatowy: na parę miesięcy przed śmiercią (2 sierpnia 1817) uwolnił włościan swęj wsi dziedzicznej od wszelkich zobowiązań (a na Litwie obowiązywała jeszcze pańszczyzna), ale musieli wzamian za to szkołę urzynywać.

Pouczająca jest wystawa i interesująca. Głównie przez wizerunki Kościuszki, choć i bogaty zbiór jego autografów pociąga uwagę. Tylko że na pierwsze wystarczy popatrzeć, drugie trzeba czytać, a to już praca; to też przed obrazami liczniejsze ścigają się grupy, aniżeli przed skryptami.



Puchar zwany „Kulawka”.

Obrazy zresztą uwagi widza nie koncentrują. Raczej ją rozpraszają. Te setki wizerunków Kościuszki są do siebie rozpaczliwie niepodobne. Są tu jednak dzieła niepospolitego talentu, do których należą przedewszystkiem dwa obrazy Orłowskiego, przedstawione w kolorowych angielskich, niezmiernie rzadkich dziś sztychach, dalej znany z licznych reprodukcji sztych, przedstawiający odwiedzin cara Pawła w więzieniu, dwukrotnie pokazany: w barwach i czarny, dalej jeszcze mały sztych szwajcarski, przedstawiający Kościuskę jako bezczębnego już starca. U wejścia powieszono olejny portret Kościuszki, bardzo dobre dzieło sztuki, z poczuciem koloru malowane, ale z pewnością na pamięć.

Są tu zresztą i takie wizerunki, których autorzy nie widzieli nie tylko nigdy

Kościuszki, ale nawet żadnego o nim obrazka. Prym śmieszności i szarlatanerii trzyma tu mały kolorowy szkic angielski, przedstawiający twarz opasłą z nosem orlim.

Najwidoczniej spekulacja wydawnicza szukała tu zysków.

Te wszystkie wizerunki pochodzą z roku 1797, kiedy Kościuszko stał się nagle popularnym na świecie. To szlachetny gest cara Pawła otworzył naszemu wodzowi zarazem wrota i wolności, i rozgłosu. Jego podróż z Petersburga do Ameryki, razem z Niemcewiczem robiona, była pasmem owacy. Zwłaszcza w Sztokholmie i w Londynie przyjmowano go gorąco. Wtedy to zapotrzebowanie na wizerunki bohatera stało się wielkie. I zaspakajano je na poczekaniu, jak się dało.

Fizyonomicznej prawdy szukał bym też raczej w medalach, dość licznych, które, choć i one musiały być przedmiotem spekulacji, wyglądają jakoś uczciwiej. Zwłaszcza piękne amerykańskie medale, na których przedstawiany jest Kościuszko w towarzystwie Washingtona i Pułaskiego. Wprawdzie i w tym dziale nie brakuje curiosów, na gruncie spekulacji rozkwitłych, jak np. medal z profilem Kościuszki na recto i z datą odezwę wielkiego księcia Mikołaja na verso. Kilka statuetek bronzowych Kościuszki ma głównie handlowy charakter.

W każdym razie próbę syntezy fizyonomicznej, wyprowadzonej z obejrzenia tych setek wizerunków Kościuszki, uważałbym za wielce ryzykowną.

Więcej nam powiedzą o wielkim wodzu jego autografy, listy, rozkazy, odezwy. Wpada mi w oko list energiczny, nakazujący lepsze pilnowanie zapasów broni, które „dyabli wiedzą, gdzie idą” i kartka, pisana widocznie na siodle. Ale synteza tego materiału już zrobiona przez monografistów. Kościuszko posiada aż dwie monografie: Korzona i Konecznego. Jeden tylko ks. Józef miał równe szczęście do naszych historyków. Wszyscy inni wielcy ludzie nasi byli o wiele mniej pod tym względem szczęśliwi, począwszy od Dąbrowskiego, który nie ma jeszcze ani jednej monografii.

Vars.

Z katedry i estrady.



ANDRZEJ STRUG, autor „Dziejów jednego pocisku”, wygłosił odczyt w sali Tow. Higienicz., w którym barwnie i zajmująco skreślił historię odwrotu pierwszej brygady z Uliny do Krakowa.



Laura Pytlińska, znana artystka dramatyczna, d. 25 kwietnia urządziła pierwszy swój wieczór recytacyjny, na którym odtworzyła „Tańce polskie”. Deklamacja artystki spotkała się z gorącym uznaniem krytyki i publiczności.



Prof. T. JOTEYKO, znany muzyk, napisał operę p.t. „Grajek”. Wyjątki wykonano na poranku w Filharmonii d. 13 b.m. Melodyjność kompozycji zyskała sobie uznanie krytyki i publiczności.



Obraz olejny Molinari'ego, przedstawiający scenę walki z pod Maciejowic.



Jeden z lepszych portretów olejnych Kościuszki niewiadomego autora



Kościuszko i Puławski 1776-1876
(podług modelu Godebskiego, wykonany przez grawera Passey'a).



Washington, Kościuszko i Lafayette
(podług modelu Rogel'a, wykonany w Paryżu przez Borrel'a).



Obraz Plerscha. Ranny Kościuszko wzięty do niewoli.



Miniatura podług obrazu Lesser'a-Lesserowicza.



Grupa członków Zgromadzenia cukierników pracodawców i pracobiorców z rodzinami przy nowopoświęconych sztandarach cechowych.
Fot. Maryan Fuks.

Teatry warszawskie.

TEATR ROZMAITOŚCI. „Zemsta”, komedia Al. hr. Fredry.

Brak repertuaru bieżącego wpływa poniekąd dodatnio na program widowiskowy pierwszej sceny polskiej. Kierownictwo zrzeszenia po „Ślubach panieńskich” sięgnęło znów do fredrowskiej zasobnej kasy i wydoszło z niej arcydzieło rodzaju „Zemsta”. W ten sposób może Teatr Rozmaitości w sezonie letnim przypomni Warszawie cały cykl pereł twórczości fredrowskiej, tworząc już na zawsze tradycję tego rodzaju potrzeb artystycznych. W teatrach zagranicznych zawsze latem odbywają się przedstawienia cykli: Wagnera, Beethovena, Verdiego, Goethego, Moliера, Schillera czy Szekspira. U nas dobrze byłoby też zaprowadzić ten zwyczaj. Warto jest przypomnieć w scenicznej realizacji cały szereg nazwisk, znanych współczesnym już tylko z podręczników literatury.

„Zemsta” wznowiona została ze starannością. Dobrym Papkinem był p. Jerzy Leszczyński, wnuk mistrza Rapackiego, który też grą swoją uświetnił wznowienie, jako stylowy Milczek. Klarą była p. Szyling. Podstolinę odtworzyła p. Pichor. A Frenkiel, jak zwykle, zamasyście odtwarzał typ szlacheckiego karmazyna imię p. Cześnika.

TEATR POLSKI. „Świecznik”, komedia w 5 odsłonach Alfrede de Musseta. Przekład Lucyana Rydla.

Dyalog koronkowych rozmyślań nad tajemnicą miłości rozsnuwa Alfred de Musset w swojej delikatnej komedii o „Świeczniku”. „Świecznik” — to taki młody pazik, który służy za parawan kochankom, by wywieść w pole mężowskie podejrzenia. W mussetowskiej komedii pazikiem tym będzie „trzeci pisarz p. Andrzeja, małżonka ślicznej a frywolnej Zakliny”, zakochany Fortunio. Pani Zaklina zwraca na niego swoją uwagę, gdyż tego żąda dufny kochanek, oficer. W ten sposób sprytny jegomość chce wszystkie podejrzenia p. Andrzeja skierować w stronę rozkochanego Fortunio. P. Zaklina z początku się wzdraga, ale czegoż nie robi się dla miłości?

P. Andrzej i oficer-kochanek będą z p. Zakliny zadowoleni. Rogaczami pozostaną niebawem oba. Te przemiany uczuć i niebezpieczeństw miłosnych Alfred de Musset maluje w stylu Marivaux. Wogóle cała komedia nosi na sobie wyraźne piętno epoki.

P. Zelwerowicz, jako reżyser — ten specjalny ton wydostał w swoim uzmysłowaniu scenicznym. Wystawa była nadzwyczaj staranna. Zaklinę grała p. Przybyłko. Męża p. Jarniński. Dufnego kochanka dobrze pokazał p. Kuncewicz. P. Węgierko zaś rozkładał się zbyt sentymentalizmem „Fortunia”. Dobrą służebną był p. Tatarkiewicz.

TEATR MAŁY. „Hallo”, lekka komedia w 3 aktach E. Földesa.

Węgierska komedia p. E. Földesa przypominała nam te niedawne czasy, gdy przez telefon znudzone panie zawiązywały znajomość z miłymi sąsiadami, których urodę oceniły dodatnio na schodach lub w windzie. Tajemnicza taka osoba zawiązała też w głowce austriackiego oficera. Przez całe pół roku zawięcie go intryguje, doprowadza do szalu zainteresowania, budzi miłość. Gdy zjawi się w jego mieszkaniu — nie pozna się na niej miły oficer. Wyidealizuje sobie ją przecież na miarę swoich snów. Piękna pani przytem nawet, gdy jest w mieszkaniu, nie przestaje gnać komedii. Wywołuje to maleńki konflikt, który szczęśliwie znów przy odgłosie „Hallo” zakończy się w mieszkaniu strapionego oficera.

Telefoniczna intryga została przez p. Földesa dosyć zręcznie przeprowadzona. Przyprawił ją przytem autor papryką węgierskiego sentymentalizmu, co specjalnie pożytuje ten oficerski romans przez tubę telefoniczną i może się podobać szerszej publiczności, wyrozumiałej na żołnierskie cierpienia. Parę telefonicznych kochanków zagrali pp. Arkawin i Ratowski. Inne role wypadły dość pomysłnie w interpretacji p. Krystyńskiej, Neubelta i Sarneckiej. Bardzo ładnie wyglądał p. Ratowski, który wyrabia się na zajmującego lekkiego amanta. Wystawa i reżyseria bardzo starannie. E. C.

269

WIOSNA 1917:

POLECAJĄC ŁASKAWEJ UWADZE
NOWE MODELE WIOSENNE, PROSI
O ZASZCZYT ODWIEDZIN

BOGUSŁAW HERSE



RYŚ. A. OZIERZBIKI

BLUZKI

KAPELUSZE
WOALKI — ŻABOTY
PARASOLKI
BOA
RĘKAWICZKI
POŃCZOCHY

BIELIZNA

WSTAŻKI

PRZYBRANIA
GALONY — TAŚMY
KORONKI
HAFTY
TIULE — MUŚLINY
FIRANKI

DYWANY

SUKNIE
KOSTIUMY
PŁASZCZE

WEŁNY
JEDWABIE
BAWEŁNY

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 19 maja 1917 roku

Nr 20.

Jubileuszowa monografia o Naczelniku.

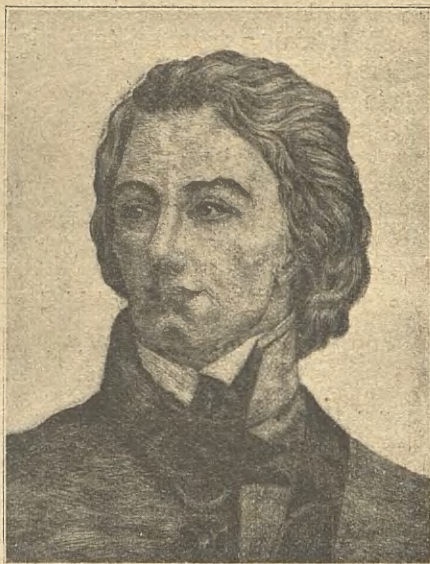
Sto lat mija, jak zamknął oczy na wieki Tadeusz Kościuszko. Nieprzejeanny obywatel Rzeczypospolitej, piastun idei jagiellońskiej państwowości polskiej, żołnierz bez skazy w milczeniu dokonał swego pracowitego życia, patrząc, jak z krwi narodów i pożog wojen znów na widowni dziejów wyrasta państwowość nasza. Ostrzegał jednak współobywateli przed Rosją. Pisał dnia 26 stycznia 1816 r. do Sierakowskiego:

„Obawa jest wielka, aby nasze królestwo nie było, jak królestwo astrańskie, które rozplynęło się na prowincje rosyjskie, ale korona widzialna jest w ceremoniach rosyjskich“.

W cichym domu Zeltnerów w Solurze tragedję polskości przeżywał w jasnovidzeniu. Zapowiadał bowiem: „Przyjdzie czas, że te same mocarstwa, jak są w wielkiej przyjaźni teraz, rozdzieli ich interes potem“. I wyrzekł słowa dziś dopiero zrealizowane: „Rosya osłabi się przez samą wielkość swoją“.

Dnia 15 października 1817 roku te oczy, co widziały chwałę i wolność polską, te usta, co ważyły się na przysięgę narodowi polskiemu, to serce, co nie znało konszachców i nieustraszenie płonęło świętym ogniem miłości ojczyzny w samotności, bo w otoczeniu obcym — już na śmiertelnym łożu a jeszcze troski pełne o przyszłość, rodzinie Zeltnerów powierza swoje nadzieje i oczekiwania. Kościuszko umiera cały oddany myśli o przyszłości narodowej. Człowiek z krwi i kości, ten, który

powstał „i z roli i z tego co nas boli“, rozplywa się w bohaterską legendę, staje się jednym z najpłomienniejszych rapsodów naszej tragedji historycznej. Już nie tylko człowiek — ale symbol krwawy, ale znicz ofiarny, na rumowisku starych lat przekształcający się w gwiazdę przewodnią dla lat nowych, dla dni tortury, nędzy i upodlenia. Charakter bez skazy, dusza mocna, jak miłość i śmierć — nie zna, co to polityka przedpokojowej dyplomacyi, którą w przeciwieństwie do Kościuszki poczynnie uprawiać gen. Zajacek. Sztandar godności narodowej umie Kościuszko opromienić glorią takiej chwały, że do dziś trwa jego pocią-



Akw. A. Herszafila.

Tadeusz Kościuszko.

gająca moc. Od razu poznał się na Aleksandrze, którego chytróść i lisia obłudę do dna przeniknął. Nie zamaścił mu wyraźnego sądu nawet Napoleońskie kunszty. Odpowiedział Fouché'mu, d. 22 stycznia 1807 r., że pójdzie do Polski na wezwanie napoleońskie, o ile otrzyma gwarancje:

1) że forma rządu w Polsce będzie taka, jak w Anglii.

2) że chłopci będą wolni i otrzymają na własność swe gospodarstwa teraźniejsze.

3) że granice Polski będą się rozciągały od Rygi do Odessy z jednej strony, a z drugiej od Gdańska do Węgier z zamianą na Galicyę.

Kościuszko republikanin, broniący wolności Stanów Ameryki Północnej, dla Polski żąda gwarancji monarchicznych rządów.

W stulecie śmierci Naczelnika warto jest przemyśleć jego dorobek ideowy, warto jest zgłębić jego doświadczenie polityczne. Będzie to prawdziwy hołd, oddany świętej pamięci wodza i obywatela. Z racji tej zapewne dr. Feliks Koneczny ogłosił drukiem czterystostronicową monografię życia i dzieła Tadeusza Kościuszki. Księgę tę wydano z pietyzmem, bogato ilustrując — na pięknym kredowym papierze i dając ją w gotowej kunsztownej oprawie.

Dr. Koneczny przystąpił do pisania swego dzieła po dokładnem zaznajomieniu się z epoką. Chwilami tło historyczne aż przesłania postać Naczelnika. Dr. Koneczny omawia drobniutko stosunki agrarne, kredytowe a nawet obyczaje w Rzeczypospolitej, co jest zresztą bardzo interesujące — ale znajduje się bezwzględnie w dysproporcji do faktury monograficznej. Łatą dzieciństwa Kościuszki, stosunki rodzinne w rodzinie dr. Koneczny przedstawia źródłowo i wyczerpująco. Późniejsze

losy w szkole żołnierskiej, lata służby w armii narodowej, jak zresztą i cały okres do wyjazdu do Ameryki, dr. Koneczny maluje z uwzględnieniem wszystkich tych prądów politycznych, które nurtowały w społeczeństwie naszym. Kościuszkę w Ameryce—to specjalna karta chwwały polskiego imienia. Dr. Koneczny omawia i ten okres ze znajomością podłoża, na którym sądzone było przyszłemu Naczelnikowi żyć i walczyć. Autor nie dostrzega w życiu Tadeusza Kościuszki sentymentów: kobieta prawie nie istnieje dla młodzieńca, oficera czy wreszcie męża. Wspomina o L. Sosnowskiej i Teci Żurowskiej wprawdzie, lecz tylko pobieżnie. Więcej miejsca zdobyła sobie Tecią, Kościuszkę, osiadłszy w Siechnowicach, zamierzał ożenić się. Miał już wtedy 45 lat, wieś dziedziczną, rangę generalską i 12 tysięcy złotych polskich rocznego dochodu. P. Teci sama zaczęła intrygę miłosną, pisząc listy i liściki. Józefowa Lubomirska (dawna L. Sosnowska) też losami T. Kościuszki zainteresuje się bardzo, skoro zaczęła go swatać z jedną ze swoich kuzynek. Kościuszkę pozostanie jednak kawalerem do śmierci, choć... „życie generała było obfite w plotki niewieście (str. 224)“. O uczuciach Kościuszki niema mowy. Czyżby serce jego nie było zdolne kochać? A może tylko historia nie wyjaśniła jeszcze dostatecznie tej strony życia bohatera, choć dr. Koneczny na str. 118 dowodzi, że Kościuszcze nie sądzone było poznać szczęścia miłości. Dr. Koneczny, badając stosunek Kościuszki do T. Żurowskiej, pisze:

„Kościuszkę żenić się pragnął, ale w grudniu 1790 r. nie myślał o T. Żurowskiej. Nie wydawała mu się stosowną na żonę dla siebie; w kilka miesięcy potem są bardzo spoufaleń, a generał się jeszcze nie oświadczył“ (str. 224).

Dalsze dzieje Tadeusza Kościuszki pokazuje na tle wydarzeń 3 Maja, opisuje bowiem insurekcję i nieszczęśliwy jej koniec. Lata niewoli, stosunek do Katarzyny, Pawła i wreszcie Aleksandra znajdują w książce uwagę, że Tad. Kościuszkę w więzieniu nauczył się milczeć. Ta umiejętność milczenia — to owoc zamknięcia i stalowa próba charakteru. Nauczył się jej każdy, w kim nie zamarał, nie spodłał duch. Tak w przyszłości nauczył się też milczeć, jak mur, Łukasinski. Otoczenie nie zawsze rozumie te dusze, co przeszły przez gehennę inkwizycji rosyjskiej. Zgryźliwie więc odezwie się ten i ów o milczku-Kościuszcze. Będą nawet

tacy, co wezmą to za zdziwienie, za starczy marazm. Wreszcie lata ostatnie, powtórny pobyt w Ameryce, powrót do Europy i ostatnie siedemnaście lat bezczynnej, trawiącej troski o przyszłość. Zabiega o jego względy Napoleon, mamą Aleksander. Kościuszkę żąda jasnych i godnych konwencji. Gracze polityczni, szachraje dziejów — nie znają takich określonych postulatów. Prowadzą grę na los szczęścia. Czyż Kościuszkę, który przeżył Maciejowice i Szczekociny, mógł być nieostrożny? Czy mógł ufać, opierając się tylko na słowie uprzejmem?

Znał już wtedy ludzi i świat ten milczący i skupiony wódz bez armii, naczelnik bez narodu. Przeżył dni sławy i upojenia — poznał nędzę i nic. Gaśnie powoli na obczyźnie, myślą i troską współpracując w dziele z bogacenia doświadczenia politycznego.

Dzieło dr. F. Konecznego godne jest uwagi publicznej. Warto, by stało się w rocznicę śmierci twórczą kanwą do rozmyślań nad życiem, czynem i duchem tego, co przez swoją zasługę i hart sięgnął do bram nieśmiertelności. Szkoda tylko, że

nie przeprowadzono sumienniejszej literackiej korekty rękopisu. Przy powtórnej edycji należało by to uczynić.

Książka dr. Konecznego czyta się łatwo i zajmująco, choć pod względem źródłowości zawdzięcza niesłychanie dużo benedyktyńskiej pracy Korzona o Naczelniku, o czym wspomina sam autor, zaznaczając w przypisku:

„Praca niniejsza nie wyczerpuje tematu; opracowanie życia Kościuszki ma i mieć będzie już zawsze za fundament pomnikowe dzieło: Tadeusz Korzon: „Biografia z dokumentów wysnuta“.

W rok po śmierci pochowano zwłoki Naczelnika na Wawelu. W roku 1823 uczczono jego pamięć pomnikiem: usypało pod Krakowem kopiec Kościuszki.

Kopiec ten widnieje już zdaleka w promieniu Krakowskiego grodu.

W rok jubileuszowy na kurhan ten niech zbiegną się wszystkie myśli i uczucia — czcąc pamięć tego, co wytrwał, wierny idei Polski jagiellońskiej.

Eustachy Czekalski.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ

KARYERY.

28

Nareszcie przestawała być garbatą ciotką Benisią, której na nic się nie zda wzbudzanie swoim postępowaniem szacunku u ludzi; na nic jej praca, spełnianie obowiązków — to wszystko zakrywa jej garb, wraz z którym wyrok piekielny zadecydował dożywnością tragedię jej życia.

Wiedziała dobrze, że ludzie, skłonni jedynie do widzenia wad bliźniego, z zazdrości o jego zalety, jakich sami w sobie nie czują — będą cynizowali za jej plecami:

— Uczciwość nie jest żadną cnotą u brzydkiej kobiety, którejby nikt nie chciał. Kiedy się ma garb, cóż można robić zabawniejszego, niż zakładać szkółki, lub pomagać biednym i rodzinie?

Strzały te, które czuła doskonale po za swymi plecami — tem były dotkliwsze, że mieściła się w nich, przy całej złośliwości, pewna doza prawdy, na którą rady nie było.

Ciotka Benisia nie mogła przecież pozbyć się garbu. Stać się narażoną piękną i pokazać światu, że, mimo to wszystko, nie jest, jak inne, złą i ładaczną. A może faktycznie, gdy-

by była piękną — miałaby co innego, niż ochronki w głowie?

Otóż całego ciężaru tej swojej dożywności tragedii ciotka Benisia — zaraz po rewizji pakunków i paszportów — pozbywała się — lekka odciąż, jak ptak, jak wszyscy inni w jej mniemaniu ludzie.

Przestawała już być ułomną panią Benigną ze zrujnowanych baronów Winterów Horską, zaślubioną przez bogatego starego paralityka jedynie na złość rodzinie i z braku cierpliwszej i łagodniejszej, niż ona, niemłodej pielęgniarce. I ciotka Benisia tuła się w transie rozkoszy po przecudnej stolicy Dandolów, Faliernich i Foscarich!

Cóż z tego, że zbanalizowały Wenecję sentymentalne niemki, niezmordowane w karmieniu gołębi na placu św. Marka ku uciechu swoich pokiereszowanych młodych małżonków z Bedeckerami!

O! Venezia la bella! Kto ciebie nie widział, nie domyśla się, jak jesteś piękną! A kto, widząc, nie poznał się na twoim uroku, nie godzien, aby cię widzieć!

Bo jak można nie kochać piazetty? Oczami duszy widzę ją z jej falami seledynowemi, na których huczą — niby całe stada czarnych ptaków — umocowane u brzegów gondole z ich charakterystycznymi srebrnymi grzebieniami.

I słyszę zachwalające głosy wiecznie rozgadanych gondolierów, którzy dla oszczędności pozdejmowali z nich na chwilę czarne chwasty i srebrne ozdoby.

Na tle tych morskich szmaragdów, jaką harmonią tonów pieści twoje oczy ten blade-różowy marmur pałacu dożów i pomidorowy kolor wieży San Giorgia!

O! I ta publiczność wenecka! Poza nieciekawym cosmopolisem — te cudne dziewczyny oliwkowe, o przesadnie wielkich czarnych oczach, z wielkimi złotymi kolczykami w uszach, o pysznych kształtach, zarysowywujących się nadzwyczajnymi liniami z pod długich czarnych z frendzlą szalów, któremi owijają się harmonijnymi falami!

I te siwe staruszki, również oliwkowe, również czarnookie z rysami, wykutymi z bronzu; i księża w okrągłych lśniących pilśniowych kapeluszach, i chmary młodych marynarzy z golemi szycami i karkami; i przekupnie, zachwalający bez końca umieszczone w wielkich płaskich koszach pięknie ułożone owoce, lub skrzzące srebrnymi łuskami najdziwniejsze ryby!

O! Venezia! la bella!

I ciotka Benisia z zaciekawieniem szpicla wkłada się nienasyconym łakomym oczami w te labirynty uliczek, w których można rozwartymi ramionami objąć przeciwległe domy.

O! Te długie perspektywy ulic weneckich, przecinane wygiętymi w łuk mostkami, pełnemi koziołkującej dzieciarni, po za którymi w poprzek z obu stron tajemniczo płyną szmaragdowe „ulice“. Okalają je domostwa o gankach, pełnych mokrej bieleziny, suszonych dyń, fig, winogron, z biednymi kwiatami w oknach, w których tak cudownie próżnują Weneccjanki.

A wśród szmaragdów ulic suną gondole w ciszy, przerywanej jedynie charakterystycznym nawoływaniem gondolierów...

I ciotka Benisia, nie wie w swoim embarras des richesses, czy zacząć od owsa, czy od siana? Z uczuciem, jakgdyby przed jej oczami rozsypał się naraz worek z najcenniejszymi kosztownościami, a ona z chciwością waha się, które wcześniej zbierać — aż drży cała; co jedna weźmie, druga z rąk jej wylatuje.

Segreguje więc sobie, siłąc się na trzeźwość, znane na pamięć każdemu cuda.

Rozstaje się z żalem z widokiem morza, bo ciągnie ją z powrotem piazetta z głównym frontem pałacu dożów i z rezydencją królewską.

Nie może dość nasycić się jej wymarzoną perspektywą, wynurzającą się z po za dwóch monolitów z XIII wieku z figurami św. Teodora na krokodylu i patronującego Weneccji lwa, który, przywędrowawszy z niedobrowolnej podróży do Paryża, powrócił po upadku Napoleona z powrotem do ojczyzny. Biedak! Nie może, niestety, rozkoszować się jej ukochanym widokiem, bo wrócił z niewoli już jako inwalida, bez cennych swoich oczu z prawdziwych szafirów!

Wzrok ciotki Benisi zwraca się ponownie ku morzu na pejzaż blade-seledynowych cichych wód Canal grande, z których wypływa jakby uperlona z topieli fal rusalka: To cała lśniąca od swych marmurów, pyszna w swych proporcjach, idealnie harmonijna Santa Maria della Salute!

Z boku pałacu dożów — roztacza się z całym swoim gwarem pomiędzy wodami, na których kołyszą się barki i gondole, Riva degli Schiavoni, ciągnąca się z szeregiem mostów: Westchnień, della Paglia, Ponte Cà di dio, aż het! ku giardini publici.

Dziś panoszy się tu wyjątkowa agitacja nawoływań na conto nowych wyborców, których nazwiska Fornetto, Rubinetti, Orso, Morelli, jakby żywcem wzięte z imprezy tenorów, traktowane dziś ogromnie serio przez całą Wenecję — błyszczą — nalepione na pałacach, mostach, pomnikach i kościołach.

A wszystko, skąpane w złotych promieniach południowego słońca — błyszcząc czarującym bogactwem tonów tak silnie, że znany każdemu na pamięć stary muzealny Canaletti, (pomimo odtwarzanej przez niego brakującej już dziś pompy renesansowego przepychu starej Wenecji) — wydaje się wobec nieuchwytniej nawet dla geniuszów natury — martwą mapą poglądową lub obrazkiem dla dzieci.

I ciotka Benisia z łakomstwem nienasyconego smakosza — porzuca z bólem jedną potrawę, kuszoną do drugiej; i nie czując nóg ze zmęczenia, powraca po raz nie wie już jaki z powrotem na plac św. Marka, który określa sobie w myśli:

— Jest to, krótko mówiąc, czterokątna sala do tańca dla wielu tysięcy par kotyliona, wielkości paru set metrów, z posadzką marmurową,

z trzema gigantycznymi kolumnami z bronzu Lombarda.

— Powiewały na nich ongi — uczy ją Bedecker — sztandary podwładnych Wenecji: Krety, Kandy i Morei.

Obrzuca salę miłosnem okiem: Zamiast wyszłego już z mody Floriana — rautujące towarzystwo salonu usadowiło się u Carla Laveny z charakterystycznym gwarem, nie przerywanym ani ideą turkotu choćby jednego na setki otaczających ulic pojazdu.

A plaon salonu — utkany z prawdziwego nieba, w dzień ubranego w przepych słońca, wieczorem usianego gwiazdami! A cztery ściany tworzą — nie bagatela — z jednej strony na całą długość procurazie vecchie: pyszny pałac z XV w. Bartolomea Buona, zamieszkiwany ongi przez biskupów, kardynałów i innych duchownych dygnitarzy. Z drugiej strony pendant do niego — to Procurazie nowe, mistrza Scamozziego z XVI wieku, ongi rezydencja królów. Oba pałace połączone ze sobą, przez całą szerokość placu zbudowaną przez francuzów na miejscu zburzonego św. Geminiana, tak zwaną: Nuova Fabbrica. Wszystkie trzy budynki wydłużają się bez końca arkadami sklepów, z szeregiem niezliczonych kolumn o pysznych kapitelach.

Wreszcie czwartą ścianę tego jedyne go na świecie salonu już nie przepotężnych królów, lecz bogów — tworzy cacko — olbrzymia bombonierka także nie królowych, lecz bogiń: świątynia św. Marka, biało-różowa, złota, wielka kasetka do koronek i kosztowności, zapchana bezcennymi mozaikami, bronzami, statuetkami, antykami, rzeźbami, z bezcennymi malowidłami na ścianach, szybach okien, niszach i sklepieniach, nagromadzonych w ciągu stuleci.

Na samym rogu placu, tuż przy olśniewającej logecie, błyszczącej rumieńcem swoich marmurów, łagodzonych białością płaskorzeźb i figur Sansowina (naprzeciwko wieży zegarowej z cyferblatem z lapisowej mozaiką w złote gwiazdy, na której dwóch poruszających się olbrzymów z czarnego bronzu uderza młotami godziny) — usadowiły się przy stalugach całe chmary malarzy w wytartych marynarkach, z bladymi twarzami artystów bez określonej narodowości.

Czy pożera ich nurtująca w nich genialność, niezdolną wydobyć się z wnętrza z powodu braku talentu, czy też poprostu z powodu głodu?

Dalszy ciąg nastąpi.



LOS.

1

Sz. wrócił z urlopu. Zmienił się nie do poznania. Schudł i pobladł. Oczy ciemne zapadły głęboko w czaszkę, gdzie chorobliwie się jarały. Najbliżsi z sekcji krótkim jeno pytaniem dali wyraz zdziwieniu. Aż go uraziło, że zjawienie się jego tak bez wrażenia przeminęło. Jedno pytanie i na ustach i w oczach u każdego: jak tam na tyłach — co ze sprawą?

Witał każdego serdecznie, starszych, co to jeszcze pierwszą jesienią na wojnę ruszyli, całował i jednako odpowiadał, że źle, że gorzej, niż w obozie. — Nikogo nic nie ciekawi, nikt o nic nie pyta — po za tem jednym? Ten sam, co od miesięcy długich, na dusze wszystkie oman opadł i dzierży ta jedna myśl: co będzie?.. Nikt nawet nie zapyta — choćby ze zwyczaju — jak mu się powodziło zdala od swoich na pierwszym urlopie?

Porucznik S., gdy Sz. zameldował służbowo swój powrót, ścisnął mu rękę mocno, zajrzał w oczy i wyrzekł:

— Wam co? Jakby was ze szpitala za wcześnie puścili... Czy taka bieda na tyłach?... — dokończył z uśmiechem, gdy żołnierz przeczył mocno zmieszany.

— Zdrow wracam, jak ryba, obywatelu poruczniku.

— To dobrze. Tu nad St. ciekawo mamy odcinek. Placówka, na pięćdziesiąt kroków od moskiewskiej — porozmawiać można, a strzelać, ile dusza zapagnie. I patrol was nie minie. Roboty aż nadto, ludzi tylko brak — tych starych...

Dni płynęły przejasne, blade i śmiertelnie łagodne, jak uśmiechy w najdroższych matczynych oczach. Każdy dzień coraz smutniejszy i starszy, mgłą zmierzchów światowych i wieczornych spowity. Podobny do wczoraj i przedwczoraj, jasnym słonecznym błękitem ubielony, jakby ten sam, spalał się długo taką samą kwiecistą zorzą. Dzień za dniem ginął taki sam, choć po nocy każdej coraz mniej liści na brzozech się złociło, choć w każde podwieczorne wrzosa coraz bardziej rudziały. Sosny tylko jednako bujnie się zieleńiły, a dęby po przedleśnych zagajach w milczeniu głuchem trwały, osłaniając rów nasz, co skrajem boru biegł ku goliźnie wzgórza na południe.

Poważał się Sz. po odcinku, jakby szukając tej najciekawszej jego zalety. Rów biegł białym, mokrym piachem. Do metrowej głębi dokopać się nie było można, gdyż woda w kałużach czarnych się jawiła. Przedpiersia więc mocne i wysokie trzeba było z darniny narzucić, krąwędzie rówów i ganków smreczyną czy pręciem opleść. Ziemianki z mocnych dylów zbudowane i pokryte wysterczały nad ziemię, niedostatecznie piachem osłonięte.

Na polanie śródleśnej poza linią saperów naszych zastał nad schronem pracujących. Budowla była na ukończeniu. Zapadła w ziemię, jednak wysterczała kopułą nad poziom, wyrastając mogiłnym kurhanem wśród drzew poleskich marzeniem południowem i niemi pajęczyn objętych. Połykiwały piachem jeszcze niezasypane szyny żelazne, okrywające kilku warstwami strop granatnika. Zręby cień ostry po węglach rzuciły. Saperzy narzucali piach szary i żółty, by piramidę zaokrąglić. Ten i ów ściągnął bluzę, rękawy brudnej koszuli zakasał i śmigał łopatą, pośpiewując. Stawiali dom z drzewa i żelaza, urągający wszystkim iwanom i kuferkom.

Nie zajrzał w korytarz piwniczny. — Czas będzie zapoznać się w ogniu. — Z szacunkiem i poważaniem poglądał na silne ramiona saperskie i zgięte grzbiety. Nauczył się je cenić na reducie dziadkowej w owe dni lipcowe, gdy we stu przykucał w granatniku. Nad nim w słońcu szalał piekielny huragan. Nie czuli nic ani słyszeli, choć kilkanaście ciężkich pocisków w schron uderzyło.

— Szczęść wam Bóg, budownicowie wy nasi — pozdrowił i uśmiechem powitał. W duszy błogosławił wywczas i lenistwo piechociarskie, owo słodkie wylegiwanie się całymi godzinami w słońcu. Owo zbieranie sił i oczekiwanie ciężkich, znojących chwil przeprawy bitewnej i trudów odświętnych. Sposobienie się wewnętrzne na gonitwy po bagniskach nadrzecznych, łowy i czaty na placówce w zimną wyiskrzoną gwiazdą mij północ.

— Piechurem się urodziłem i piechurem zdechnę. — Wola boska! — zakończył myśl zwyczajną formułą sierżanta F., przyjaciela.

Zajrzał do sąsiadów, na placówce nad bagnistą strugą postrzelał i — jakby go kto urzekł, czy jaką wymyślną aspirynę zadał — zapadł się w siebie i w swoją ziemiankę. Jak borsuk zaczął żyć. Jakby go słońce uraziło, unikał i przesypiał godziny dzienne. Tak ciężki sen go opętał, że — bywało — nieraz popołudniu

nie wywabiało go z nory radosne hasło, po gankach i ścieżkach leśnych wykrzykiwane: obiad! Leciąły i tłukły się po lesie okrzyki. Dźwięk meżaków i głosów żołnierskich wrzawa dochodziły do ziemianki Sz. Z początku ten i ów przynosił nieproszonego strawę. Lecz po kilku dniach zapomnieli.

Sz. nie spał. Oczy mu gorączkowo w mroku świeciły. Śnił, czy myślał... Nie zdołały go nawet na nogi poderwać dwa słowa najdźwięczniejsze i najmilsze na pozycyi, jakie w każdy wieczór późny budziły rów i ziemianki, z ust do ust podawane: fasunek i poczta! Ktoś dobry brał dla niego chleb, cukier i papierosy, czyjaś poczeiwa ręka składała ten prowiant na półce drewnianej nad wezłowiem, mchem miętko wyścielonem. Nieraz zjawiała się w manierce kawa czarna i F. sierżant, brat serdeczny, szeptem namawiał:

— Pij, póki gorąca. Dopiero co z kotła przyniosłem.

Zamykał oczy, gdy sekcyjny pocztę rozdzielał, gdy przy świetle ogarka chłopcy łakomie, czasem głośno z kpinami i śmiechem kartki czerwone odczytywali, lub z dzienników wiadomości podawali. Odwracał się do ściany, jakby go mdła jasność świeczki raziła, lub w las wychodził na włóczęgę.

Wyostrzoną, jak brzytwę mają chłopcy uwagę i oczy do przespiegów i czujności wyćwiczone. Rychło ten i ów w pamięci zakarbował i dziwną chorobę druha i słońca jedynego znienawidzenie, postów przydługielich wie, na czyją intencję odprawianych — trwanie. Któregoś wieczora usłyszał pokpiwanie głośne, jakby nie w jego stronę skierowane.

— Jak to dobrze dokumentnie na tyłach wszystko załatwić, wszystkie swoje marne sprawy. Żadna ci potem kobieta ani zakłębienie ani kartkowem ucałowaniem nie zmąci spokoju na pozycyi.

— Cha — cha! — posłuchaj, A., jak mię jedna z K. jeszcze prześladuje: „...a nie zapominaj, niech cię ręka boska strzeże, a pisz... pa, pa, pa...“ — Roztrajkotała się, jak karabin maszynowy porucznika R. — cha — cha!

— Niejedna, zaś znudzona czekaniami, wyjdzie za cywilą, co ma najświętszy zamiar przeżyć całą chryję wojenną, a nawet z grosiłem wyjść, jak się patrzy. Przyjeżdżasz, bracie, na urlop, czy na kurację, a panna Zosia, co się w żołnierzyku na umor kochała, już panią sędziną czy profesorową — ani na cię spojrzysz...

— S. ty śpisz? — A twoja, jak zaawansowała?

Dalszy ciąg nastąpi.

Malczewski.

(Fragment z poematu dramatycznego).

Rzecz w Wenecyi. Rok 1819, karnawał.

3

BYRON.

O grecy! Jam przepyszne zgotował puklerze,
I hełmy z pióropuszem — jak to jest w Homerze.
W nich Iliadę odnowim. Achillesy mężne
Wstaną z grobu — i huły powiodą orężne.
Achajów i Argiwów lud i Myrmidonów.
Żaden wróg nie przełamie helleńskich legionów.
Niech żyją wolne ludy! Hen, od Kordylarów
Aż po skalisty Athos — plemię bohaterów
Powstaje. Wszystkie ze snu budzą się krainy —
Irlandye przygnębione — i nędzne murzyny,
Równie czarne, jak białe! — Wszyscy uciśnieni,
Wszyscy znękani głodem i wydziedziczeni —
Niechaj tu do mnie przyjdą! Niechaj żyją grecy —
Niech żyje Italia — i węgry dalecy.
Do ciebie tu przemawiam, hrabio Esterhazy.

ESTERHAZY.

Milordzie, za te piękne dziękuję wyrazy.
Ale pozwól przedstawić sobie tu młodziana —
Z ziemi, która najtwardszą niewolą spętana.
Polak — pragnie gorąco, jak rosy niebieskiej —
Przedstawionym być tobie. Zowie się Malczewski.

BYRON.

Polak — ach, wiem, słyszałem — Kościuszek Tadeusz,
Wielki rycerz — bohater — nowy Prometeusz —
Keats o nim śpiewał pięknie.

MALCZEWSKI.

Jam onieśmielony,
Stając przed twem obliczem. Poeto natchniony —
Piękny jak bóg, wyniosły jako szczyt alpejski!
Twoje księgi mi były jak śpiew czarodziejski,
W którym ryk łwa się łączy ze srebrnym aniołów
Szelestem — lub grzmi czasem jak armatni ołów —
Albo szumi jak morza wzburzonego fala
Lub płonie jako słońce, gdy się dzień zapala.
Wybacz banalne słowa. Jam cię czcił gorąco,
Milordzie, boś ty w księgach swych jasnowidząco
Objawił duszę wieku. Wszystkie owe twarze:
Te Giaury, Czajld-Haroldy, Lary i Korsarze —
Były mi jakby własnej duszy mej zwierciadłem —
Dziękuję tobie — samego siebie ja odgadłem.

BYRON.

Miło mi, drogi panie, że blahe przejawy
Mych myśli — były dla cię przedmiotem zabawy.
Ale w gruncie poezya jest to rzecz dziecinna —
Daleko mi ważniejszą zda się sprawa inna.
Między balem a balem — dla pustej igraszki
Śród splenu mgieł londyńskich — pisałem te fraszki,
Lub w podróży, gdy w brzegi porzucił ojczyście;
Lecz teraz idą czasy wielkie i ogniste.
Z niewoli się podnoszą zdeptane narody.
Hellada się wydziera ku jutrzniom swobody.
I, zapewniam cię panie, czas już niedaleki,
Kiedy ujrzysz swobodne, odrodzone greki.

HRABINA.

Tak Byron lubi mówić, signore Polacco,
Lecz w istocie miłością otacza jednaką
Zarówno swoje pieśni, jak i swoje czyny,
Bo władcą chciałby zostać obojej dziedziny.
Nie sądzę, że już zaprzestał nowe pieśni tworzyć;
Mogłabym jego nowe księgi ci otworzyć:
Dzieje Sardanapala — Kaina — Manfreda,
Gdzie, chociaż go przewyższyc nie już zda się nie da,
Przewyższył tu sam siebie.

BYRON.

Nie dziw, moja pani.
Miłość moja dotychczas krążyła w otchłani
Błędów, kaprysów, igrzysk. Każda ukochana
Była dla mnie poprostu kielichem szampana
I nigdy nie kochałem z powagą należną:
Dziś dopiero poznałem tę tu biało-śnieżną
Istotę; dziś dopiero kocham poraz pierwszy.

MALCZEWSKI (do siebie).

Szczęśliwy!

BYRON.

Ona włada we mnie oddech szerszy —
Uniosła mnie na szczyty, z których mi inaczej
Wygląda świat. — Młodzieńczej zrzekłem się rozpacz.
Dzisiaj jam mąż dojrzały — jam stoik surowy —
I śledzę bytu ziemni żelazne okowy.
A jeżeli je szarpie — niecierpliwie szarpie —
Bo chcę przeważyc wszystkie konieczności harpie.
Teresa — mi się stała moją muzą boską:
Ona mię wprowadziła w konspirację włoską,
Ona nie papierowe śpiewa mi rapsody —
A których treść: zgębione wyzwolić narody.
Ona była mi wzorem najczystszych postaci:
Ady, co wraz z Kainem spokój ducha traci,
I Myrry, która ginie wraz z Sardanapalem.
Jestem dzisiaj przejęty wiecznym bytu żalem,
Lecz wcale mi Hamletu nie przystoi rola.
Przyn — to moja dziedzina; wróg mój — to niewola.
Przodkowie moi — były to morskie wikingi.
I ja wzdycham do walki — do miecza — do klingi.
Poezja mi podrzedną wydaje się rzecz;
Choć Teresa i inni słowem tym zaprzeczają,
Lecz jam głównie polityk oraz dyplomata:
I to są me realne, żywe poemata.
Chcę narodom zapalić świt życia poranny —
A wiersze niechaj piszą studenci i panny.
Pierwszym zaś moim czynem — złamać kłatwę wieków —
Wyzwolić i odrodzić zmartwychwstałych greków.

HRABINA.

Tę myśl ja chwale również — i, rzecz ważąc, sądzę,
Że kto odrodzi Grecję — otworzy wrzeczadze
Ku odrodzeniu świata. Pan przybywa z Polski.
Jesteś żołnierz.

MALCZEWSKI.

Tak pani.

HRABINA.

Gdyby ci eolski

Zabrzmiął hymn, byś do Grecji jechał wraz z Byronem,
By gdzieś pod Salaminą albo Maratonem
Walczyć o wyzwolenie tej ziemi geniuszów:
Czy ty byś nie pojechał? W szumie pióropuszków
Czybyś nie poszedł walczyć o wolność Hellady?
Gdy Grecja będzie wolna, toć wszystkie szkarady
Świata znikną: kajdany — niewole — uciski!
Jedź do Grecji z Byronem. — Dzień odrodzin blizki.

MALCZEWSKI.

Pięknie natchniona pani o Grecji przemawia,
Zaiste nowa prawda dziś mi się objawia.
Nie wiem, lecz może pójdę na ten bój szlachetny.

BYRON.

Dusza jej płonie ogniem, niby wulkan Etny.
Jak ona, mówię tobie: Idź na Cheroneję —
Odwrócim kartę dziejów — zacniem nowe dzieje.

MALCZEWSKI.

Jam gotów. Szkoda jednak, że tak lekceważył
Poezyę... Ty mi byłeś najlepszy towarzyszu,
Który w gorzkie me życie wlewał pocieszenie:
I takiem dziś jest całe ludzkie pokolenie.
Wszyscy cię uwielbiają... Nieraz myśl zbłąkana
Zwracała się do ciebie, jako do tytana.
I zawsze mi twe księgi budzą nowe dreszcze:
O, gdybym jak ty, lordzie, miał natchnienia wieszczę!
Słuchaj! Są w mojej ziemi nieskończone stępy,
A na stepach pamiętne są dzieje Mazepy.
Był to paź króla Jana Kaźmierza. W gościnie —
U pewnego magnata w bujnej Ukrainie —
Mazepa uwiódł żonę księcia. Wówczas księżę
Dla zemsty — powrozami Mazepę obwiąże —
Obwiąże go na grzbiecie półdzikiego konia —
I popędzi przez stepów ukraińskich błonia.
A pierwój go obnażył — i tak obnażony
Pędził przez step kochanek tego księcia żony!
Młordzie, czy nie widzisz, że ta powieść dzika,
Której wichrów stepowych przygrywa muzyka:
To jakby z twojej lutni jest wyjęta struna!

BYRON.

Prawda. Lecz dla mnie pierwsza rzecz: Italia una —
I Grecja odrodzona. Lutnia się zaczyna,
By osłabić narody. I cóż Filicaja
Do Italii powiada: O ty, ziemio kwietna,
O, Italio poezją i malanstwem świetna,

Gdybyś była mniej piękna, lecz za to żelazem
Groźniejsza — świat by ciebie lękał się — i razem
Szanował by cię więcej! Armaty i prochy
Nie poezya — nie sztuka — mogą zbawić Włochy.
A Grecja? W ten się wyraz wsłuchaj. Pomyśl o tem,
Jaki piękny świat będzie, kiedy słońcem złotem
Geniusza i natchnienia błysnie znów Hellada;
Kiedy na nowo zabrzmi ludzkości Iliada,
Gdy zbudzą się Pindary, oraz Eschylosy,
Gdy przemówią Platonów zmartwychwstałe głosy,
Gdy Fidyasze znów zaczną rzeźbić swe Pallady...
Ale mię bardzo nęci treść twojej ballady...
Mazepa — Ukraina — step — koń — mrok! Rozległa
Treść! Zemsta — rozpacz — miłość!... Grecja
niepodległa!

Italia... Ale może znęca mnie twe stępy —
I kiedyś w rymy związę historję Mazepy.

HRABINA.

Napisz, napisz tę powieść, drogi mój Byronie,
O, jak pięknie wygląda przez stepowe błonie —
Obnażony — pędzący na grzbiecie rumaka
Paż zakochany... Napisz. Krwawa zemsta taka
Jeszcze nie była w pieśni opisana żadnej!

BYRON.

Ty wiesz, że wobec ciebie jam prawie bezwładny —
Ulegnę twojej woli. Widzę już: spieniony
Przez stępy pędzi rumak — młodzian obnażony
Leży na nim — spętany zdradzieckimi sznury,
A dokoła krajobraz najdzikszej natury!

HRABINA.

Chciałabym ci choć trochę, o pieśniarzu Giaura,
Być tem, czem dla Petrarki — była piękna Laura.

BYRON.

Niezbyt piękna — toć ślepi są zwykłe poeci —
Leciwa była — miała dwanaścioro dzieci —
I chwala Bogu, że ty, Signoro szlachetna,
Jesteś młoda, piękniejsza i żeś jest bezdzietna.
Dzięki ci, miły panie, Kościuszki rodaku,
Za tę powieść o księciu, pażu i rumaku.
Ale dość już tych poważnych spraw na dzień dzisiejszy,
Uderzmy w ton szalony — to jest rozumniejszy.
Niech maski nam zatańczą — niech w górę popłyną
Dźwięki pieśni — strumieniem niechaj tryśnie wino.

MASKI (zaczynają na nowo pieśń).

Czy znasz weneckie zapusty?...

Wchodzi zamaskowany Pietro Gambo — i na stronie tajemniczo rozmawia z Byronem.

KONIEC.



W oczach Zachodu.

18

POWIEŚĆ.

Utkwiła znów swe okragłe oczy w osłoneczoną przestrzeń po za frontowymi drzwiami, piastując wciąż kota w objęciach.

— Tak; ucieszyłam się — zaczęła po chwili. — Jest dla mnie coś bohaterskiego w samym dźwięku nazwiska Haldin. A! jak oni tam muszą trześć się ze strachu wszyscy ci niegodziwcy po swoich ministeriach. Dobrze im tak. Gdy pomyślę o tych okrucieństwach, gwałtach, bezprawiach, które się tam dzieją, gdy ja tu sobie z panią gawędzę, w głowie mi się mąci. Napatrzyłam ja się, o! napatrzyłam takich rzeczy, że zniechęciłam własną bezradność. O! napatrzyłam się. A pani?

Panna Haldin wstrząsnęła zlekka głową.

— Nie, ja sama nie jeszcze nie widziałam — wyszeptwała wzruszona. — Mieszkaliśmy zawsze na wsi. Mój brat sobie tego życzył.

— Dziwne to spotkanie nasze — ciągnęła dalej tamta. — Pani wierzy w przeznaczenie, panno Haldin? Czyż ja mogłam spodziewać się, że zobaczę panią, jego siostrę, na własne oczy? Powiadam pani, że kiedy tu wiadomość przyszła, to tutejsi rewolucyoniści tyleż się właśnie zdziwili, co ucieszyli. Nikt dotąd nie słyszał o bracie pani. Sam Piotr Iwanowicz nie przewidywał, że coś podobnego się stanie. Brat pani musiał być poprostu natchniony. Bo też takie czyny muszą się dokonywać z natchnienia. Wielki to przywilej mieć natchnienie i sposobność. Czy brat był do pani podobny? A pani uradowała się, panno Haldin?

— Nie żądam pani zawięz ode mnie — odrzekła panna Haldin, z trudem wstrzymując się od płaczu. Po czem opanowawszy się, dodała spokojnie:

— Nie jestem bohaterką.

— Więc pani nie byłabyś zdolną do podobnego czynu?

— Nie wiem. Nie chcę nawet zastanawiać się nad tem, dopóki nie pożyję trochę dłużej i nie zobaczę więcej.

Tamta pokiwała głową z uznaniem. Na górze zapanowała zupełna cisza. Panna Haldin pierwsza przetrwała milczenie.

— A co ludzie mówią o moim bracie? Pani mówiła, że się dziwili. Tak; powinni się byli dziwić. Czyż

to nie szczególne, że mój brat nie potrafił ocałić się, skoro dokonał najtrudniejszej rzeczy, uszedł niepostrzeżenie z miejsca? Spiskowcy dobrze to rozumieć powinni. Mam powody, dla których bardzo pragnęłabym się dowiedzieć, czemu nie zdołał uciec.

Dama do towarzystwa zbliżyła się przez ten czas do otwartych drzwi frontowych. Teraz spojrzała szybko przez ramię na pannę Haldin, która pozostała wewnątrz.

— Nie zdołał uciec — powtórzyła. — Alboż nie uczynił ofiary z życia? Alboż nie był poprostu natchnionym? Może to był akt samooofiary z jego strony? Nie sądzisz pani?

— Sądzę — rzekła panna Haldin — że w żadnym razie nie był to akt rozpaczny. A nie słyszała pani, co mówią o tem jego nieszczęsnem aresztowaniu?

Dama do towarzystwa zamyśliła się.

— Czy słyszałam? Oczywiście, że słyszałam. Tu się o wszystkim mówi. Co do mnie sama wzmianka o jego wzniosłym czynie napelnia mnie radością i zachwytem. I po cóż człowiek, który jest pewien nieśmiertelności, miałby się troszczyć o życie?

Umilkła, patrząc w przestrzeń. Na górze po za wielkimi, białe ze złotem lakierowanymi drzwiami, które widać było po przez schodową balustradę, jakiś głęboki głos zaczął formalnie huczeć, jakgdyby coś czytając.

— Nie mogę już czekać dłużej — rzekła panna Haldin. — Wrócę kiedyś indziej.

Dama do towarzystwa nie odpowiedziała, ani nie odstała od drzwi, które zagrażała sobą.

— Niepotrzeba — wymówiła nagle — bo oto Piotr Iwanowicz nadchodzi. I nie sam. On teraz rzadko bywa sam.

Usłyszawszy o zbliżaniu się Piotra Iwanowicza, panna Haldin nie ucieszyła się zbytnio. Odpadła ją jakosć chęć ujrzenia zarówno bohaterskiego zbiega, jak pani de S..., a odpadła, jak młoda wytlómaczyła, dlatego, że tych dwoje obchodziło się źle z damą do towarzystwa.

— Przepraszam panią — rzekła dotykając zlekka ramienia tej osta-

tniej, która jednak nie ruszyła się z miejsca.

— Wiem, kto z nim idzie — rzekła nie obejrzawszy się.

Panna Haldin doznała takiego uczucia, jakgdyby ją coś wypędzało z tego domu.

— Pani de S... może być jeszcze dłuższy czas zajęta, a ja mam tylko zapytać o coś Piotra Iwanowicza, co się da załatwić, gdy go spotkam na drodze. Muszę już iść. Niepokoję się o moją matkę. Pozwól mi pani przejść.

Dama do towarzystwa odwróciła nareszcie głowę.

— Nie przypuszczałam na chwilę, żeby pani naprawdę chciała widzieć się z panią de S... — rzekła z pewną tajemniczością. — Ani na chwilę.

Z temi słowy wyszła na taras a panna Haldin za nią i poczęły zstępować razem z omszałych, kamiennych stopni. Na podjazdowej drodze nie było widać nikogo.

— Drzewa ich zasłaniają — rzekła dama do towarzystwa — ale zaraz ich pani zobaczy. Nie wiem, co to za jeden, ten młody człowiek, którego Piotr Iwanowicz tak sobie upodobał. Musi należeć do nas, bo by go nie przyjmowano, gdy są tamci. Pani wie, kogo mam na myśli. Chociaż nie zdaje mi się, żeby był skłonny do mistycyzmu. — Ale jeszcze go dobrze nie wypośredkowałam. Oczywiście, nigdy długo w salonie nie przebywam. Zawsze się dla mnie coś do roboty znajdzie.

W tej chwili z po za kępy w bluszczu oplątanych krzaków ukazał się Piotr Iwanowicz ze swoim towarzyszem. Szli bardzo wolno, rozmawiając z pewnem ożywieniem. Raz przystanęli i widać było Piotra Iwanowicza gestykującego zamasyście, podczas gdy młodzieniec słuchał bez ruchu ze zwieszoną wzdłuż ciała rękoma i pochyloną zlekka głową. Miał na sobie ciemno-brązowy garnitur i czarny kapelusz. Okragłe oczki damy do towarzystwa spoczęły na tych dwóch postaciach.

— Nadzwyczaj grzeczny młodzieniec — rzekła. — Zobaczysz pani, jak się ukloni. Mnie kłania się tak samo, gdy mnie spotka w hallu.

Obie z panną Haldin postąpiły kilka kroków naprzód. Młodzieniec zdjął kapelusz, uklonił się i cofnął, zaś Piotr Iwanowicz pospieszył na spotkanie panny Haldin z wyciągniętymi rękoma, ujął obie jej dłonie i potrząsał niemi, wpatrując się w nią przez ciemne okulary.

— To rozumiem! To rozumiem! — wykrzyknął z uznaniem. — Jak widzę, dotrzymywano tu pani to-

warzystwa. — Spojrzał marsowato na damę do towarzystwa, piastując wciąż kota. — Wnoszę stąd, że Eleonora — pani de S... — jest zajęta. Wiem, że spodziewała się kogoś dżisiaj. Dziennikarz nie wyszedł jeszcze, co? Zajęta?

Za całą odpowiedź dama do towarzystwa odwróciła głowę.

— To się bardzo niedobrze złożyło, bardzo niedobrze. Ogromnie mi przykro, że... — zniżył nagle głos. — Ale cóż to znaczy? Przecież panj nie odchodzisz, Natalio Wiktorówno? Znudziło się pani czekać?

— Bynajmniej — odpowiedziała panna Haldin. — Tylko jestem tu już czas jakiś i muszę wracać do matki.

— Czas się pani dłużył? Co? Niestety, nasza zacna przyjaciółka (tu Piotr Iwanowicz nagle wyrzucił głowę) nie ma daru skracania chwil czekającemu. Nie; stanowczo nie nie posiada tego daru, a w tym względzie same dobre chęci nie wystarczą.

Dama do towarzystwa opuściła ręce i kot znalazł się raptem na ziemi. Panna Haldin zawrzała oburzeniem na gburowate zachowanie się Piotra Iwanowicza względem damy do towarzystwa.

— Proszę mi wierzyć, Piotrze Iwanowiczu, że chwile, które spędziłam w hallu, były zarówno ciekawe jak pouczające. Zostaną mi na zawsze w pamięci. Nie żałuję, że czekała, ale widzę, że cel moich odwiedzin da się osiągnąć bez zajmowania czasu pani de S...

— Więc pani nie widziałaś pani de S...? — przerwałem z zadowoleniem.

Panna Haldin wstrząsnęła głową. No, to doskonale! doskonale! — mówiłem sobie w duchu; cierpieć bowiem nie mogłem tej wymalowanej, wystrojonej Egeryi Piotra Iwanowicza. A teraz byłem pewny, że już jej nie pozna, skoro los zetknął ją przypadkiem z owym nadzwyczajnym przyjacielem jej zmarłego brata. Wołałem już, żeby on został duchowym przewodnikiem i doradcą tej niedoświadczonej dziewczyny, którą marny koniec jej ubóstwianego brata tak nagie osamotnił, niż żeby ją pochwycił w swoje szpony rewolucyjny feminizm Piotra Iwanowicza i pani de S...

Rzecz prosta, iż będąc tak żywo zainteresowanym wszystkim, co się tyczyło panny Haldin — czego się zresztą nie wstydzę, bo było to całkiem bezinteresowne uczucie — pragnąłem usłyszeć coś o tym przyjacielu, jedynym, którego nazwisko znalazło się w listach brata od siostry.

Coprawda, dziwiło mnie to trochę, że młodzieniec ten, bawiąc już od kilku dni w Genewie, sam z siebie do tych pań nie pospieszył. Bylbym wołał, żeby się poznanie ich bez pośrednictwa Piotra Iwanowicza obeszło. Ale skoro przypadek zrządził inaczej...

— Zapewne Piotr Iwanowicz — zacząłem.

Ale panna Haldin nie dała mi dokończyć.

— Wyobraź pan sobie — zawołała z oburzeniem — że skoro tylko Piotr Iwanowicz usłyszał moje słowa, powstał na tę biedaczkę w okropny sposób.

— Powstał na nią? — powtórzyłem zdziwiony. — Jakto? Z jakiego powodu?

— Ach! to było coś niesłychanego! — ciągnęła dalej panna Haldin z zaiskrzonymi oczyma: *Il lui a fait une scène* wobec obcych. I o co? Nigdyby pan nie zgadł. O jakieś jajka... O!

— O jajka? — powtórzyłem zdumiony.

— Tak; dla pani de S..., która zachowywała jakąś specjalną dyetę. Otóż skarzyła mu się wczoraj, że nie były dobrze przyrządzone. Piotr Iwanowicz przypomniał to sobie raptem i napadł na tę biedaczkę. Oślu-piałam.

— Jakto? Czyżby wielki feminista pozwolił sobie ubliżyć kobiecie? — zapytałem.

— Och! nie to. To było coś sto-kroć gorszego. Wyobraź pan sobie, że zdjął kapelusz, zaczynając. A głos miał tak ukiadny, miodowy: „A! nie jesteście pani laskawą dla nas. Nie raczysz pamiętać...” i tak dalej w tym rodzaju. To biedactwo nie wiedziało, co z sobą robić. Oczy miała pełne łez. Nie dziwiłabym się, gdyby wołała, żeby ją był zwymyślał albo i wybił nawet.

Powstrzymałem się od uwagi, że prawdopodobnie i jedno i drugie trafiło się jej, gdy nie było świadków, i czas jakiś szliśmy w milczeniu.

— Wielcy ludzie miewają zdumiewające przywary — rzekłem od niechcenia. — Zupełnie, jak i zwykli śmiertelnicy. Ale to przecież nie mogło trwać do nieskończoności. W jakikż sposób wielki feministą zakończył ten tak bardzo charakterystyczny epizod?

Panna Haldin objaśniła mnie, że koniec zajściu położył dziennikarz, który interwiewował panią de S... Nadszedł szybko, niepostrzeżenie, uchylił zlekka kapelusza i rzekł po francusku:

— Baronowa prosiła mnie, żeby w razie gdybym po drodze spotkał

jaką panią, powiedzieć jej, by przysłała do niej natychmiast.

Powiedziawszy to, oddalił się. Dama do towarzystwa pobiegła ku domowi, a Piotr Iwanowicz podążył za nią, i panna Haldin znalazła się sam na sam z młodzieńcem, który niewątpliwie musiał być owym przybyszem z Rosyi. „Czy on też domyśla się, kto ja jestem?” przemknęło jej przez głowę.

Jestem w możności stwierdzić, że domyślił się. Te szare, ufne, czyste oczy! Każde słowo wymówione przez Haldiną, żyło w pamięci Razumowa, a najgłębiej wżyła się w nią wzmianka o siostrze. Od tej pory istniała dla niego ta „siostrzyczka”. Ale nie poznał jej od razu. Zauważył ją, idąc z Piotrem Iwanowiczem, i oczy ich spotkały się. Oczarował go wdzięk jej postaci, jej spokój, jej świeżość, lecz wnet odwrócił wzrok. Powiedział sobie, że wszystko to było nie dla niego: piękność kobiet, przyjaźń mężczyzn były nie dla niego.

W dzienniku swoim opisuje drobniawo to uczucie posępnej abnegacyi, z jakim stanął na takim stanowisku życiowym. Ale ja byłem przedewszystkiem ciekawy wrażenia, jakie on, Razumow, sprawił na pannie Haldin, i zapytałem ją o to bez żadnych omówień.

— Jakie wrażenie sprawił na mnie? — powtórzyła zwolna, jakby marząco; poczem żywszym tonem dodała:

— Wygląda na człowieka, który więcej wycierpiał od myśli swoich, niż od złego losu.

— Od myśli swoich, powiadasz pani?

— Tak; to rzecz naturalna w rosyjaninie; zwłaszcza w młodym rosyjaninie. Tyłu z nich czuje się nie zdolnymi do czynu, to ich dręczy.

— I pani masz go za człowieka tego rodzaju?

— Nie; nie wydaje o nim żadnego sądu. To niemożliwe, po jednorazowym przelotnym widzeniu. Pytasz mnie pan o wrażenie... więc dzielę się z panem moimi wrażeniami. Nie znam świata ani ludzi; żyłam zawsze w takim odosobnieniu. Nie mogę dowierzać moim sądom.

— Dowierzaj pani swemu instynktowi — rzekłem. — Większość kobiet rządzi się instynktem i nie myli się gorzej, niż mężczyźni. W danym razie list brata może panj dopomódz.

Westchnęła głęboko.

Dalszy ciąg nastąpi.

